

SŁOWAK

CZASOPISMO KULTURALNO - LITERACKIE

NR 11, LISTOPAD 2019



*Uniwersyteckie I Liceum Ogólnokształcące
im. Juliusza Słowackiego
ul. Dąbrowskiego 36, Chorzów*

Drodzy Czytelnicy!

Chcielibyśmy zaprezentować Wam najnowszy numer Czasopisma Kulturalno - Literackiego SŁOWAk. Jesteśmy ogromnie wdzięczni, że dzielicie się swoją twórczością i jesteśmy pewni, że niejednokrotnie inspirowaliście innych swoimi pracami. Carlos Ruiz Zafón w powieści „Cień wiatru” trafnie zauważa: „Czytać to bardziej żyć, to żyć intensywniej”. Mamy nadzieję, że właśnie lektura naszego czasopisma będzie dla Was bodźcem, by życie doświadczać pełniej bez względu na przeciwności losu, cieszyć się każdą chwilą, która jest nam dana.

W tym numerze możecie przeczytać wiersze Tomasza Pyrcika - w jednym z nich autor przedstawia różnice pomiędzy przedmiotem ścisłym, jakim jest matematyka, a pięknym uczuciem miłości. Edyta Fragsztajn ukazuje niesprawiedliwość otaczającego świata, skłaniając przy tym do refleksji nad tym, co najważniejsze. Czytając wiersze Agaty Maćkowskiej dostrzegamy pewne historie pobudzające naszą wyobraźnię, natomiast Anna Kern w swoich rozważaniach zachęca Czytelnika do spojrzenia na pewne sprawy z innej perspektywy.

W dziale „Proza” Kacper Łukowicz prezentuje opowiadanie „Ostatnia Podróż”, które przenosi nas w czasie, podkreślając rolę bliskich osób w codziennym życiu. Maria Smorczevska w swoim utworze zachęca do poszukiwania odpowiedzi na pytanie: „Co czyni mnie człowiekiem?”, natomiast Espantajo przedstawia krótką historię, która niejednokrotnie mogła spotkać każdego z nas.

Jeżeli zastanawiacie się, jaką książkę przeczytać w wolnym czasie, to zachęcamy do zapoznania się z czterema recenzjami. Pierwszą z nich jest recenzja książki „Tylko mnie dotknij”, powieści psychologicznej ukazującej życie i dylematy młodej kobiety, Magdy, której każda decyzja wiąże się z poważnymi konsekwencjami. Kacper Łukowicz dzieli się z nami swoją opinią na temat powieści Jakuba Żulczyka: „Zmorojewo”. Edyta Fragsztajn ocenia książkę o zaskakująco nieszablonowym tytule „Głód – Jak, do diabła, możemy żyć, wiedząc, że dzieją się takie rzeczy?” – to pytanie niejednokrotnie pojawia się w powieści, intrygując swoją treścią. Na koniec warto przeczytać recenzję Olgi Meyer - autorka poddaje ocenie powieść, która stała się klasyką światowej literatury: „Lot nad kukulczym gniazdem”.

W dziale „Varia” Martyna Zimek i Julianna Stachaczyk przenoszą Czytelników w świat podróży, dzieląc się swoimi przygodami i przemyśleniami z pięknej, gorącej Hiszpanii i odległych, ale jakże fascynujących Indii.

Życzymy wielu wrażeń!

Redakcja

Projekt okładki: Jakub Ciołek

Zespół redakcyjny:

Redaktor naczelna: Marta Banaś

Zastępca redaktora: Kacper Łukowicz

Opiekun redakcji: Damian Straszak

Korekta: Jolanta Czeczota

Dziennikarze: Anna Kern, Agata Maćkowska, Maria Smorczevska, Tomasz Pyrcik,
Radosław Mosór

Fotografie: Martyna Zimek, Hiszpański w Słowaku

Spis treści

Poezja

Tomasz Pyrcik

Miłość i Matematyka (str.5)

Szepty (str.5)

Edyta Fragsztajn

Niesprawiedliwość (str.6)

[...] (str.6)

Samotnej nocy (str.6)

Nad morzem (str.7)

Agata Maćkowska

Spektakl (str.8)

Ruda tajemnica (str.9)

Anna Kern

Wiersze bez tytułu (str.10)

Proza

Kacper Łukowicz

Ostatnia podróż (str. 12)

Maria Smorczewska

Myślę, że jestem (str. 15)

Espantajo

Rozhowor (str. 17)

Recenzja

Marta Banaś

Cichy krzyk - recenza książki

"Tylko mnie dotknij" (str. 19)

Kacper Łukowicz

Zmorojewo (str. 23)

Edyta Fragsztajn

Martín Caparrós - Głód (str. 25)

Olga Meyer

Lot nad kukułczym gniazdem (str.

27)

Varia

Martyna Zimek

Hiszpania po raz...(str. 29)

Julianna Stachaczyk

Szkolna wyprawa do Indii (str. 32)

POEZJA

Tomasz Pyrcik

Miłość i Matematyka

Miłość i matematyka
To różniące się tematy
Jednym rządzi wszak logika
Drugim poematy

Można jednak się doszukać
Punktów wspólnych tego zbioru
I choć nie ma prawa się dodawać
Żadne z nich nie daje forów

W obu ważne wyrażenia
Co pozory dobre dają
Zwykle kończąc na wrażeniach
Wnet kłopotów przysparzają

Z każdą lekcją coraz mniej wiem
O romansach i algebrze
I po liczbach jak w czułościach
Wciąż się miotam, niczym w febrze

Szepty

Lekkie drgania, niezawistne
Ciche szmery sucholistne
Krople światła niemające
Muskające palców końce

I te drwiące zdań chichoty
I odejścia i powroty
I przyczyny i ich skutki
I późniejsze żale, smutki

Gwiazd trawersy nieskończone
Burze myśli roztargnione
Puszcz połacie gdzieś w oddali
Wszechświat w naszej własnej skali

Dźwięk silnika nie na biegu
Skrzypot bosych stóp na śniegu
I to właśnie, poprzez ciszę
Wszystko w Twoim szepcie słyszę

Edyta Fragsztajn

Niesprawiedliwość

Są dni różowe, wypełnione szczęściem,
a między nimi te cierniste i ciemne.

Niektórzy osiągają sukces bez wysiłku,
inni z ciężkiej pracy zbierają plon
porażki.

Są chwile uporządkowane i stateczne
i takie, których chaos jest
przewodnikiem.

Niscy zazdroszczą wysokim,
a prości - inteligentnym.

Moment potrafi trwać latami,
a dekada minąć w mgnieniu oka.

Noworodki umierają,
samobójcy dożywają starości

A gwiazdy nad nimi świecące
boleją nad ludzką niesprawiedliwością.

*[***]*

Kochać czy milczeć
Oto jest pytanie
Zakłócać, przerywać
niezmaconą ciszę?
Czy też przykładać
usta do ściany
i mówić, krzyczeć
niewypowiedzianym
słowem,
a w odpowiedzi słyszeć,
że reszta jest milczeniem?

Samotnej nocy

Nocą srebrzystą zakwitło już niebo,
Kalejdoskop gwiazd oświetla ławkę.
Siedzi na niej rozświetlona sylwetka
o wdzięcznym mianie - Samotność.

Ta pora to jej czas ulubiony,
gdy myśli złowrogie wychodzą z ukrycia.
Przybywa jak Apokalipsy jeździec,
by niepokoić ludzkie serca.

Blade oblicze w człowieka wpatruje,
nie pozwalając o sobie zapomnieć.
Rozsiewa ziarna bólu płomienne
i niecierpliwie czyha na plon.

W świetle poranka zwykle się oddała,
pozwala wypełnić się czasem i pracą.
Jednakże dotkliwie atakuje nocą,
intensyfikując swą siłę rażenia.

Pozornie zimna, nieugięta, bezwzględna,
Nikt do jej wnętrza nie może się dostać.
Gdyby ktoś jednak dotarł do duszy jej wrót,
dostrzeże łez kałuże modre.

Każdy ucieka przed okrutną jej mocą,
chcąc wieczystego uniknąć cierpienia.
Nie zdajemy sobie jednak sprawy,
jak bardzo samotna może być Samotność

Nad morzem

Fali szum przywraca moc wspomnień,
kolory żaglówek nie służą ozdobie.
Nieugaszony rozpala we mnie płomień,
potok nostalgii i myśli - o Tobie.

Pamiętam dobrze składane nocą przysięgi,
co jak powiew wiatru ulotne w przestworzach.
Przed sobą widzę rozerwaną wstęgę,
słowa rzucone w odmęty ciemne morza.

I pragnę znów wierzyć w tę piękną iluzję,
na nowo przeżywać postrzępione chwile.
Jednak ma przeszłość odarła mnie ze złudzeń,
byłeś w mym życiu ulotnym motylem.

Nie mam pewności czy mnie to nie zgubi,
ma dusza na powrót stała się poczwarką,
Nawet nie żądam byś znów mnie polubił,
lecz tylko sobą uczynisz mnie wartą.

Agata Maćkowska

Spektakl

Kiedy otwarto drzwi sali
I ludzie się włąli
Nastąpiła rzecz niesamowita:
Segregacja, która już nikogo (podobno) nie tyka.
I tak mamy po kolei przegląd postaci
Ciekawszych od samej sztuki.
W pierwszym rzędzie panowie, którym się wszystko należy.
W drugim reżysera rodzina, krytycy i emerytowani suflerzy.
Trzeci i czwarty to łoża przegranych -
Chcieli dobre miejsca, ale nie po cenach wygórowanych.
Piąty to ci niezdecydowani,
Nie wiedzieli czego chcą i usiedli po środku, do bani.
Szósty, siódmy, już ekonomiczniej,
Idealne miejscówki dla rodziny licznej.
Ósmy i dziewiąty są dla ludzi w cieniu,
Takich, którzy wolą skupić się na plotkach niż na oglądaniu.
I dziesiąty rząd, z którego nic nie widać.
Najtańszy, najbrudniejszy, najbrzydszy – szkoda gadać.
A ja, gdzie się odnajduję przy tych wszystkich duchach?
Na schodach.

Ruda tajemnica

Działo się to w długą noc a czarną jak heban.
Miejsce to było piękne, ale nieznane nikomu,
Może to i dobrze, dzięki temu nie panował tam bałagan.
Chytre futro właśnie wymknęło się z domu
I pomykało krokiem miarowym między drzewami.
Mijało rzędy świerków, krzaczki jagód i zagajnik cisów.
Wtem rude cztery łapy wypatrzyły polanę z zającami.
Ich szare futro przywoływało Rudemu na myśl fuzje smaków.
Zaszedł je od tyłu, cicho, cichutko, powolutku...
Burczenie w brzuchu zgrywało się z jego krokami
I myślał on tylko o przełykaniu zająca: powoli, bez pośpiechu, po malutku...
Ślina już ciekła na znajomy smak umami.
Rzucił się na stadko, igły trzaskały pod łapami,
Zające - panika, w tył zwrot, ucieczka!
Rudy – szybciej, prędzej, zwawiej, napelnić pysk zającami!
Jest tylko jeden? Uciekniemy? A może to zasadzka?
Wreszcie dopadł jednego, szarpał i gryzł i podgryzał
I zębami kłapał i siekał na lewo i prawo.
Chwilę jeszcze się pomęczył i zająca zeżarł.
Zanim odszedł, oblizał się i uśmiechnął niemrawo.
Najedzony wrócił do swojej leśnej nory,
Tam się dokładnie oblizał i oczyścił.
Udając, że nic się nie stało, poszedł spać i nawet do tej pory
Co się stało - nikt się nie domyślił.

Anna Kern

[***]

Coraz więcej mamy zmartwień
Słyszac w radiu wiadomości
Martwimy się o przyszłość
Co ona nam przyniesie
Lecz nadal jest nadzieja
Czy pewnego dnia
Nie będziemy się martwić
O to co przyniesie nam jutro
Po prostu ruszy się przed siebie
Nie zważając na nic
Aby znów po raz ostatni
Poczuć się jak za dziecięcych lat

[***]

Słowa wszędzie
Czy to w błędzie czy w urzędzie
Nawet równo ustawione w rzędzie
Słowem nawet są żołędzie
Chodzą za mną jak łabędzie
Czasem nawet na kołędzie
Od księdza się je nabędzie

[***]

Było ciepło
Ale nie trwało to zbyt długo
Pół świata się przebyło
Byleby zwiedzić inny świat
Wydawał się blisko lecz było zbyt daleko
Zbyt daleko by móc się codziennie nim
cieszyć
Jednak sentyment pozostał
Pustka razem z nim
Pewnie jeszcze za parę lat
Powróci się tu z uśmiechem na twarzy
By następnie z pustką powrócić
Do szarej rzeczywistości

PROZA

Ostatnia podróż

Kacper Łukowicz

- Chcesz wypłynąć raz jeszcze? – Usłyszałem w swojej głowie, gdy ktoś otworzył drzwi samochodu i pomógł mi wejść na ganek. Po kilku chwilach wsadził do zamka klucz, który kiedyś przez lata trzymałem w kieszeni. Teraz ten ktoś prowadzi mnie ciemnym korytarzem.

- Co ja tu robię? – Pytam na głos, ale nikt nie odpowiada. Ten ktoś mnie podtrzymuje. Czuwa, żebym nie upadł i prowadzi mnie przez jakieś dziwnie znajome korytarze, do jakiegoś dziwnie znajomego pokoju.

- Kim jesteś? – Pytam.

- Dziadek! Mówiłem ci już tysiąc razy! – Krzyczy, bo przecież nie dosłyszę. – Dom sprzedaję, a ty chciałeś jeszcze raz wejść do swojego gabinetu!

-S-sprzedajesz dom? K-komu?

-Takiej młodej parze z dzieckiem. To nieważne, dziadek, przyjeżdżają z daleka.

Nie odpowiadam, tylko pozwalam mu prowadzić się dalej. Znajomy, wiecznie pijany szwedzki kapitan, którego poznałem na rejsie naście lat temu, powiedział mi kiedyś: „Wiesz, przepłynąłem cały Atlantyk, cały Pacyfik i całe morze śródziemne. To dużo, nie? Ale nigdzie, powtarzam: Nigdzie! Nie mieli tak wyposażonej maryny jak tu! 700 metrów od mojego domu! O czym to świadczy zapytasz? Ja ci odpowiem: Nie wiem! Nikt nie wie! I to jest właśnie piękne! Ile miejsc, tyle marin, tyle ludzi. To jest w tym wszystkim...”

- Jesteśmy, dziadek. Poznajesz? To twój gabinet. Co tu chciałeś znaleźć?

Znowu mu nie odpowiadam. Znowu celowo i to nie tylko dlatego, że mój własny wnuk nie

oczekuje ode mnie żadnej odpowiedzi. Nie odpowiadam mu, bo wyrwał mnie ze wspomnienia, które właśnie wyleciało mi z głowy. Pewnie, że poznaję swój gabinet, ale wolałbym przypomnieć sobie tego zapijaczzonego kapitana, który mimo swojej pokręconej logiki, chyba jednak miał rację. Przepłynął morza, oceany i nigdzie nie znalazł takiej wspaniałej maryny jak u siebie w...

- Dziadek. Pospiesz się, proszę. – Mówi, spoglądając na zegarek. – Jestem umówiony za godzinę, a muszę cię jeszcze odwiedzić do domu.

- Przecież jesteśmy w domu.

- Dziadek, dobrze wiesz, że nie o taki dom mi chodzi, pospiesz się, proszę.

Więc tak, jak mówi do mnie mój wnuk, zaczynam się spieszyć. Kiedy jednak wchodzę do swojego starego gabinetu, zauważam, że zrobiłbym ogromną krzywdę nie tylko sobie, ale i jemu, gdybym się pospieszył.

W moim gabinecie znajduje się cały przekrój pamiątek, które zebrałem w trakcie moich wieloletnich wojaży. Z każdym przedmiotem, który się tu znajduje, kryje się przecież jakieś wspomnienie. Choćby ta żółta wstążka, którą znajduję w szufladzie mojego mahoniowego biurka. Wpatruję się w nią. *Cinta amarilla* - słyszę w swojej głowie i momentalnie przenoszę się do Katalonii, która jest przecież najbardziej wysuniętą na wschód częścią Hiszpanii, która na dodatek z *España* nie chce mieć nic wspólnego.

- *Som República* – Krzyczą obywatele *comunidad autónoma*, a ja stoję między nimi

na barcelońskim placu i obserwuję ich dążenia do całkowitego oderwania się od hiszpańskiej wspólnoty. Wtedy afiszowali się tym absolutnie wszędzie. W tamtą podróż wybrałem się samochodem, a w momencie, w którym przekroczyłem granicę Hiszpanii, pod wiaduktem ujrzałem namalowaną niedbale żółtą farbą *cinta amarilla*, która dumnie witała ludzi wjeżdżających do...

- To dlatego nie wpuszczałeś tu babci? – pyta wpatrując się w jej czarnobiałe zdjęcie z czasów młodości.

Nie. Nie dlatego. Nie robiłem tego z powodu, o którym myślisz. Bo myślisz, że niby to moja świątynia pamięci. Znowu wrywasz mnie z moich wspomnień, żeby zadać mi niemające znaczenia pytanie. Nie wchodziła tu tylko dlatego, że podróżowałem wtedy, kiedy wychowywała twojego ojca. Napelniało ją to nieopisanym żalem. Chciała przecież podróżować ze mną, ale musiała wychować człowieka, bez którego byś nie istniał. Całe życie przesiedziała na tym naszym małopolskim poletku, mimo tego, że proponowałem jej wspólne podróże. Opiekowała się gospodarstwem, patrzyła jak wyjeżdżam, patrzyła jak dorastał jej syn, patrzyła jak powracam i przywożę jej pamiątki, których to nigdy nie chciała oglądać, a ja, jak głuchy, przywoziłem jej nowe i składowałem w...

- Dziadek, słyszysz mnie? - Pyta mój wnuk, a ja odpowiadam tylko prostym, ale bolesnym: „Nie”.

- Co „nie”? - Dopytuje, a ja mówię mu na to, że „nie dlatego nie wpuszczałem tu babci”.

- To dlaczego? - Pyta tym razem, ale nie odpowiem mu na to pytanie, bo sam powinien to w końcu zrozumieć. Powinien ruszyć się z domu i przestać kisić się w tym małopolskim sosie.

Bez słowa przeglądam szufladę dalej i staram się zapomnieć o mojej upartej, zmarłej żonie, którą próbowałem zadowolić bezsensownymi pamiątkami i która to postanowiła pielęgnować beznadziejny stereotyp kury domowej. W szufladzie znajduję dziesiątki ważnych niegdyś dokumentów, skasowane bilety do kin włoskich, szwedzkich, hiszpańskich, litewskich, amerykańskich i nawet belgijskich. W szafie znajduję okolicznościowe koszulki z hasłami ważnymi nie tylko dla Polaków, ale i obywateli państw, które odwiedziłem. Oznacza to, że pomiędzy koszulkami z hasłami Solidarność i Konstytucja, znajdują się koszulki Je suis Charlie i Hands across America, Znajdują się tam także meksykańskie *sombreros*, kawałek muru berlińskiego, a nawet albańskie...

- Dziadek, dlaczego? – Pyta raz jeszcze mój wnuk, który teraz nie wie, czemu ma na sobie hełm konkwistadorski. Pamiętam, że hełm ten (niby oryginalny) nabyłem gdzieś w Ameryce Południowej. Zdejmuję mu go, a moim oczom ukazuje się napis całkowicie psujący moje idealne wspomnienie o nabyciu nakrycia głowy w okolicach, w których dawno temu mieszkali Inkowie.

Made in China widnieje na blasze, która nagle okazuje się być plastikowa. Mógłbym przysiąc, że wtedy w Ameryce kupowałem prawdziwy, metalowy, konkwistadorski hełm. Pamiętam nawet całą sytuację, pamiętam tego małego Inka, który trzymał go w dłoniach i przeglądał się w nim jak w lustrze...

Nie. To niemożliwe. Nie mogę pamiętać żadnego małego Inka, bo oni przecież już nie istnieją. Wyginęli wskutek wypraw konkwistadorów na przełomie XV i XVI wieku.

A może mogę pamiętać? Co jeśli tak naprawdę jestem jednym z nich? Co, jeśli tak naprawdę nazywam się Francisco Pizarro, a całe to poże-

gnanie z gabinetem to tylko sen chorego, być może pijanego umysłu? Co jeżeli to ja zabiłem tego malutkiego Inka za to, że bawił się moim świeżo wypolerowanym hełmem, a później w zemście wymordowałem całą jego rodzinę i cywilizację?

- Dziadek, słyszysz mnie? – Pyta głos, który za wszelką cenę próbuje zignorować. Przecież dobrze znam prawdę. Nie jestem żaden Pizarro. Jestem samym sobą. Dziadkiem mojego wnuka, któremu ciągle gdzieś się spieszy, a na dodatek chce sprzedać dom, który przez lata nie był moim domem, tylko bazą wypadową, z której wyruszałem na wojaże.

- Gdzie ci się tak spieszy? – Pytam swojego wnuka, który teraz wpatruje się w te wszystkie pamiątki, które latami przywoziłem jego babci. Przegląda liczne czasopisma i obcojęzyczne książki. W ręce trzyma dębową fajkę, po którą chyba tu przyjechałem, bo wspomnienia mojego szwedzkiego kapitana, nie mogą dać mi dzisiaj spokoju.

Miesiącami trzymał ją w ustach. Zdążyła prześląknąć nie tylko jego smrodem, ale i morzem, po którym pływaliśmy. Siedzieliśmy w 15 osób na górnym pokładzie, kil przecinał słone fale, a kapitan stał oparty o relingi i opowiadał nam różne, niestworzone...

- Ja sprzedaję dom, bo wyruszam w podróż, dziadek. – Powiedział szwedzki kapitan, który stał teraz na kei i wpatrywał się w zachodzące słońce.

- Chcesz wypłynąć raz jeszcze? – Spytał, spoglądając mi prosto w oczy. W ustach nie miał swojej fajki, którą niedługo dostanie z powrotem. Bez wahania odpowiedziałem mu, że bardzo chętnie, ale muszę załatwić jeszcze jedną sprawę

Pożegnałem się z moim gabinetem i pozwoliłem wnukowi zabrać mnie z powrotem do miejsca, w którym przebywam od poprzednich kilku miesięcy.

Na miejscu przejął mnie bardzo miły mężczyzna w białym kitlu, który zaprowadził mnie do mojego nowego pokoju, w którym śmierdziało starością.

Położyłem się w swoim nowym łóżku, bo byłem już naprawdę bardzo zmęczony całą tą podróżą. Poczekalem chwilę, aż w końcu otrzymałem wiadomość sms od mojego wnuka, w której poinformował mnie o tym, że dom jest już sprzedany i nie wiadomo kiedy przyjedzie mnie odwiedzić.

Nie mogę być przecież gorszy od swojego wnuka. Brakuje mi tej adrenaliny. Brakuje mi nowych kultur i historii ludzi zamieszkujących cały świat. Brakuje mi szwedzkich teatrów, angielskiej herbaty i hiszpańskiego wina. Brakuje mi obcych języków, dialektów i gwar.

Brakuje mi podróży, więc biorąc przykład ze swojego wnuka, który wreszcie pozna nowy zakątek świata, zamykam oczy.

Zamykam oczy i wypływam w jeszcze jeden rejs.

Myślę, że jestem

Maria Smorczewska

Nikt nie miał pojęcia, że szympansy Bonobo są w stanie tworzyć narzędzia. Rok 1960, 17 państw Afryki uzyskuje niepodległość, Elvis Presley zostaje promowany na sierżanta US Army, za rok Jurji Gagarin uda się w kosmos. Nauka pędzi do przodu. Nie ma mowy o rozproszeniu w postaci naiwnych badań i rozmyślaniach nad innym gatunkiem niż ludzki. A jednak, na złość wszystkim Jane Goodal udaje się do Tanganiki, gdzie całkowicie niedoświadczona (i nawet nie do końca wykształcona!) dokonuje przełomowych odkryć, które wstrząsnęły i na zawsze zmieniły oblicze antropologii. Kiedy świat nauki z niedowierzaniem przyglądał się tym zdarzeniom, Louis Leakey, jej zleceniodawca napisał: „Musimy albo na nowo zdefiniować „narzędzie” i „człowieka”, albo uznać szympansy za ludzi.” No właśnie.

Tutaj zakończę wątek małych naczelnych (choć te mądre stworzenia mogłyby być tematem kolejnych kilku stron) i przeniosę rozważania na kwestię, która trapiła również Louisa Leakey’ego: Co czyni mnie człowiekiem? Co sprawia, że wśród miliardów gatunków na Ziemi, z których każdy jest do czegoś najlepiej ze wszystkich przystosowany, Ja jestem obiektywnie i niekwestionowanie na szczycie. Rozróżnik w postaci narzędzia zawiódł, a jego przykład uświadomił nam, że cała reszta (np. zdolność do odczuwania wstydu, poczucie sprawiedliwości, samoświadomość) też jest bardzo niepewna. Co jeśli któregoś dnia, delfin czy małpa pokona wszystkie bariery, jakimi się od nich

odgradziliśmy i będziemy (o zgrozo) zmuszeni ustawić się z nimi w jednym szeregu?

Te wizje, choć brzmią nieprawdopodobnie, prowadzą się do jednego, mianowicie do kwestii naszego bycia „kimś więcej”. Gdyby się nad tym zastanowić, wszystko w naszym życiu ma jakieś znaczenie. Nie lubimy przypadków, zwykle nie zostawiamy losowi dużego pola do popisu. Oczywiście, wszystko zależy od upodobań, jednak myślę, że zdecydowana większość z nas choć chwilę się zastanawia przed podjęciem decyzji. Chcemy mieć wpływ na to, co się z nami dzieje, zwłaszcza kiedy mamy do tego odpowiednie środki.

Samoświadomość zdecydowanie pomaga. Można by wręcz pokusić się o stwierdzenie, że w pewnym sensie żyjemy w sferze myśli, a ciało jest tylko jej materialnym odbiciem. Jednak na dobrą sprawę nie możemy być pewni, że inni ludzie mają podobne odczucia. Może my sami nawet ich nie mamy? Może zostaliśmy wychowani w przeświadczeniu, że nasza umiejętność przystosowania się do sytuacji to kreatywność, chłodna kalkulacja zysków i strat, to bezinteresowność, pożądanie jest miłością, a konieczność zachowania porządku i równowagi poczuciem estetyki. Nie wiemy czy tak nie jest. A jeżeli nie ma tak naprawdę „nas” bo „my” jesteśmy tylko ciałem, otoczką dla idei zasianej w nas przez kogoś, coś, czego nie jesteśmy w stanie zdefiniować?

Przeraża mnie taka możliwość. Przeraża mnie, że jedyna rzecz jakiej nikt nie jest mi w stanie odebrać może tak naprawdę nie istnieć. Wszystkie uczucia, jakie tak bardzo cenię,

to tylko instynkt. Podstawowy i bezlitośnie obojętny.

Nie jest to ani nowe, ani szczególnie rewolucyjne podejście. Prawie co drugi film science-fiction opiera się na tym przesłaniu. Od siebie chciałabym dodać tylko jedno: Jesteśmy sobą na tyle, na ile sobą się widzimy. Nie możemy być pewni, czym są kierowane nasze wybory, ale skoro są, możemy widzieć w sobie to, co chcemy. Co więcej, każdy może widzieć siebie inaczej. Ktoś jest tworem Boga, ktoś ewolucji, ktoś się urodził, ktoś powstał z martwych. Każdy, w pewnym ideologicznym znaczeniu, jest dla siebie stwórcą. Możemy się wspierać nawzajem i nazywać to uczuciem, mieszkać z psami i kotami, patrzeć na nie i w ich zachowaniu odczytywać tak samo

dobrze przyjaźń jak i chęć przetrwania. Bo tak jak mrozące krew w żyłach jest przeświadczenie, że nie mamy dowodów na prawdziwość tego, kim jesteśmy, tak niesamowite jest to, że nie mamy również żadnego dowodu na to, że nasze przeświadczenie jest błędne.

Mamy więc moc i przekleństwo życia w ciągłej niewiedzy. W jakim stopniu nasze życie jest znaczące dla tego świata? Nieskończoność prawd daje nam niezwykle możliwości, ale równocześnie prowadzi do obłądzenia. Myślę, że warto wyznaczyć sobie jeden punkt, który będzie nas utrzymywał na powierzchni, kiedy zabniemy za daleko. Jedyne co mogę zrobić, to przekazać wam kawałek mojej prawdy: Tyle jest człowieka w człowieku, ile sami chcemy zobaczyć.

Rozhovor

Espantajo

Siedzę w kawiarni, a właściwie na jej tylnym tarasie. Miejsce wybrałem tak, żeby się nikt przysiąć nie mógł, bo lubię czasami w ciszy i samotności napić się kawy. Poza tym mam „gawiedziowstręt”, nie lubię tłumów. Do tego mam ze sobą książkę. Miło jest poczytać na wolnym powietrzu, przy dobrej kawie, w miejscu, gdzie nie trzeba męczyć się z ciżbą. Za ogrodzeniem tylko towarzyszy mi w milczeniu i zamyśleniu marabut, dość nieruchomy, cichy bardzo. Wyróżnia go zadziwiający spokój, więc nie będzie przeszkadzał. Siadam wygodnie w fotelu, na drugim stawiam torbę z wyciszonym telefonem, książkę wyciągam i kładę na małym stoliku zrobionym z ciemnozielonej skrzynki na piwo i sklejki. Zamawiam podwójne espresso. Książki nie otwieram, dopóki pani kelnerka kawy nie przyniesie, żeby nie przerwała mi lektury. Kontempluję otoczenie, ciszę, chwilową samotność, w której towarzyszy mi wielkie, niewzruszone, łyse ptaszysko z wygiętymi do tyłu kolanami. Przychodzi kawa, znaczy pani kelnerka przychodzi i stawia kawę na stoliku, a obok niej kieliszek z wodą. Szczęśliwie nie próbuje nawiązać rozmowy i szybko wraca za bar. Otwieram książkę. Czytam. Pierwsza strona, druga, trzecia, kawa stygnie - napiję się. Czytam dalej. Sielanka. Robię kolejny łyk, podnoszę wzrok znad książki i widzę starszego mężczyznę ze szklanką piwa świeżo z kija nalanego. Rozgląda się po kawiarni, rzuca wzrokiem na tylny taras, zajęty przeze mnie

i mój spokój, ale on tego nie wie, wiedzieć nie może, bo widzi siedem wolnych stołów i ósmy stoliczek, przy którym ja siedzę, więc właściwie tłumów nie widzi, widzi tylko mnie. On jeszcze się waha, ale ja już wiem, że nici z czytania, bo nawet jeśli usiądzie po drugiej stronie tarasu, to i tak będzie do mnie gadał. Więc czekam jak na wykonanie wyroku, odebranie mi chwili ciszy i spokoju. Staram się doczytać do końca akapitu, żeby łatwiej było wrócić do lektury.

Pan z piwem wchodzi na taras. Namierza ławkę stojącą w najmniejszej odległości od swojej ofiary. Siada...

Nie wychylam wzroku nad książkę, próbuję się skupić i czytać dalej, żeby nie prowokować, nie nawiązywać kontaktu wzrokowego, odwlec początek rozmowy, którą pan z piwem na pewno zacznie. I tylko marabut zachowuje spokój. Czytam i czekam. Już nie mam pojęcia, co czytam. Zakładka już założona...

- Dobre to piwo. Nie to, co te w supermarkecie
- słyszę głos pana z piwem, który właśnie zrobił kilka łyków i wyciera usta w przedramię.

- Cieszę się! - odpowiadam i udaję, że czytam, mając nadzieję, że zniechęcę pana do kontynuowania pogawędki.

- Teraz, panie, to oni te piwa nie robią z chmielu, tylko z jakiś ekstraktów, a w gazecie pisali, że to raka wywołuje – uparcie kontynuuje uparciuch uparcie szukający

towarzystwa, którego ja właśnie staram się unikać.

- Niesłychane! - mówię i opuszczam głowę jednocześnie książkę unosząc wyżej, żeby niedoszły - mam nadzieję - rozmówca zrozumiał, że nie jestem tutaj po to, żeby rozmowy prowadzić, ale żeby ich właśnie nie prowadzić.

- Za komuny w Tychach to takie piwo robili, a teraz to nie ma co gadać!

- Ma pan rację, nie ma co gadać - podłapuję i powtarzam w nadziei na zrozumienie sugestii, jednocześnie zastanawiam się czy przeprosić pana i kontynuować lekturę, żeby potem męczonym być przez wyrzuty sumienia, że człowieka zignorowałem, czy też nie ignorować i męczyć się z faktem

nieprzeczytania ciekawie zapowiadającej się prozy...

I odkładam książkę, a pan z piwem patrzy na stolik, przy którym siedzę i pyta czy ja kawę setką wódki popijam dla wzmocnienia smaku, czy dla jakiegoś innego efektu. Wyjaśniam, że to woda. Wymieniamy kilka zdań na tematy piwne i światowe. Poznaję historię rodziny i dzieci pana z piwem. Już wiem, że jest z Katowic, a tam woda w kranie płynie aż z Goczałkowic i jakaś taka niedobra. Syn pana jest informatykiem i dobrze zarabia, ale nie ma czasu go odwiedzać, o żonie nie wspomniał, nie zdążył, bo się piwo skończyło. Jak siedział, tak wstał i wyszedł. Zostałem z książką, setką wody do połowy wypitą i łysym marabutem - żywą, choć nieruchomą świątynią spokoju. Podnoszę książkę, ale nie czytam, bo już czytać mi się nie chce. Myślę sobie, że paskudna ta cała samotność...

RECENZJA

Cichy krzyk

recenzja książki *Tylko mnie dotknij*

Marta Banaś

W jednej ze scen filmu Paolo Sorrentino „This Must Be the Place” główny bohater Cheyenne poszukujący nazistowskiego oprawcy swojego ojca z obozu Auschwitz, rozmawiając z jego córką, zauważa: „To zadziwiające Rachel, jak bezwiednie przechodzimy od wieku, w którym mówimy: takie będzie moje życie do wieku, w którym stwierdzamy: takie jest moje życie”. Wydaje się, iż właśnie ze złożonością tego problemu, czyli zderzenia naszych wyobrażeń o idealnej przyszłości z dotkliwie doświadczaną rzeczywistością, mierzy się Aldona Likus-Cannon w swojej nowej powieści „Tylko mnie dotknij”. To już trzecia z kolei (po „Podwójnym życiu Anny” i „Homo Novus”) książka polskiej pisarki urodzonej w Zagórzku koło Krakowa, jednak na stałe mieszkającej w stolicy Bawarii. Trzeba powiedzieć, iż z pewnością rozczarowani pozostaną ci wszyscy, którzy odnosząc się do tytułu książki, będą spodziewać się jeszcze jednej spośród wielu już dostępnych na rynku wydawniczym cklewej romantycznej opowieści miłosnej. Niewątpliwie ukontentowani zaś będą czytelnicy oczekujący dojrzałego, wnikliwego, a tym samym przejmującego studium walki o kobiecą niezależność, możliwość decydowania o swoim losie bez względu na opinię społeczną. To prawdziwie feministyczne przesłanie, takie, o którym tak głośno mówi jedna z czołowych postaci literackiego świata, kanadyjska powieściopisarka Margaret Atwood: „Wierzę w prawa kobiet jako równych istot”. Te słowa zdaje się również potwierdzać Aldona Likus-Cannon, opisując rzeczywistość,

w której najbardziej dominującym problemem staje się zjawisko pozbawienia kobiet prawa stanowienia o własnym życiu.

Ale zacznijmy od początku. Główna bohaterka opowieści Magda zdaje się mieć wszystko, o czym mogłaby marzyć niemal każda dziewczyna z niewielkiego miasteczka gdzieś na prowincji kraju. Jej mąż Marek to przystojny, szarmancki młody człowiek, obiekt ukrytych westchnień niemal wszystkich jej koleżanek. Ujmował dziewczyny swoim urokiem, zabawiał doskonałym dowcipem, uchodził za dobrze zapowiadającego się przedsiębiorcę. Wśród mieszkańców miasteczka panowała powszechna opinia, iż wybranka jego serca wygrała przysłowiowy los na loterii, zdobywając wszystko – miłość, stabilizację finansową i niezależność. Początek ich wspólnego życia był niezwykle obiecujący, zamieszkali w kompletnie urządzonym, okazałym domu, podarowanym im przez rodziców Marka. Posiadłość imponowała rozmiarem i przepychem, budziła podziw i zazdrość okolicznych mieszkańców. Tymczasem Magdę gdzieś głęboko dręczyło przeświadczenie, że nic w tym domu nie należy do niej, wszystko jest wymyślone i zaplanowane przez kogoś innego, brak w nim śladu jej duszy, ulubionych kolorów czy przedmiotów. To miejsce pozbawione jest „genius loci”, natomiast przypomina złotą klatkę, której drzwiczki zamknęły się z trzaskiem już w dniu ślubu, a ona znajduje się w środku tej mieniącej się złotem przestrzeni. Uwięziona i otoczona bezkresem samotności. Jej mąż Ma-

rek po ślubie ukazuje drugie, nieznane dotąd oblicze – tak bardzo czuły w narzeczeństwie teraz okazuje się być tyranem i władcą, prostakiem i gburem wyładowującym głęboko skrywane frustracje na młodej żonie. Magda krzyczy, ale dla otaczających ją ludzi to tylko ledwo słyszalny szept zagłuszony grubą zasłoną utkaną z utartych konwenansów i przyzwyczajień miejscowej społeczności.

Trzeba w tym miejscu wspomnieć o doskonałej filmowej ilustracji opisywanych okoliczności. Mam na myśli kadry z filmu *Godziny* Michaela Cunninghama. W jednej z przedstawionych historii Laura Brown jest typową amerykańską gospodynią z początku lat pięćdziesiątych XX wieku, przykładną żoną Dana Browna, matką trzyletniego syna, oczekującą narodzin córki. Na pozór idealna pani domu – potrafiąca szybko uporać się z codziennym bałaganem, perfekcyjna w organizacji życia rodzinnego, czuła żona i troskliwa matka. W głębi duszy przepełniona smutkiem, rozczarowaniem i zrezygnowaniem. Realizuje zadania wyznaczone jej przez społeczeństwo i – jak okazuje się później – jest głęboko nieszczęśliwa. Kryje w sobie ogromne pokłady negatywnych emocji. W końcowej scenie filmu Laura opuszcza swoją dotychczasową rodzinę, by wieść samotne życie bibliotekarki w Kanadzie. Podejmuje w ten sposób decyzję o porzuceniu ról przygotowanych dla niej przez społeczeństwo, wyzwala się kajdan narzuconych jej przez konwenanse.

Tak, Aldona Likus-Cannon przedstawia ten sam obraz – głęboko rozdartej i nieszczęśliwej kobiety, jednakże niezwykle kunsztownym literackim stylem prezentuje go w nowej odsłonie, w rzeczywistości dwudziestego pierwszego wieku i wskazuje tym samym, iż choć czasy się zmieniły, to problemy kobiet doświadczających

społecznego wykluczenia, ostracyzmu i wyobcowania nie tracą na aktualności.

Jednakże czy Magda, podobnie jak wspomniana filmowa postać, może tak po prostu odejść? Tutaj odpowiedź nie jest już tak jednoznaczna. Skoro jest nieszczęśliwa, to jej „wina”, tak to na początku bywa i tak musi być. Skoro mąż, niegdyś szarmancki i czarujący, okłada ją pięściami, gdyż w ten sposób jedynie potrafi uporać się z własnymi frustracjami – to także jej błąd, przecież takie rzeczy zdarzają się często i nie powinny być dla młodej mężatki zaskoczeniem. Trzeba jedynie umiejętnie ukryć to, co tak naprawdę dzieje się w zaciszach domów i żyć dalej, co prawda wbrew sobie, ale zgodnie z przyjętymi społecznymi regułami. Wszyscy tak uważają, nawet grono osób najbliższych, wyjątek stanowi jedynie babcia Magdy, która mimo dzielącej ją z wnuczką różnicy wieku wykazuje najwięcej zrozumienia i życiowej mądrości.

Wydaje się, iż kluczowym problemem w okolicznościach, w jakich znalazła się Magda, nie jest tak bardzo uporanie się z własnymi roztrzaskanymi marzeniami o spełnionym związku, lecz próba zmierzenia się z obyczajowymi konwenansami obowiązującymi w lokalnej społeczności. Podstawowe pytanie brzmi: „A co ludzie powiedzą?”. Słyszy je Magda z ust swojej matki, ale nie tylko, jest ono często na ustach jej rówieśniczek z miasteczka, które nie wyobrażają sobie sytuacji, by można było opuścić męża, nawet takiego, który stosuje przemoc fizyczną wobec żony.

Bez wątplenia prawdziwą zaletą pisarki jest umiejętność odważnego stawiania trudnych pytań oraz dostrzeganie szarości w konstruowanych portretach ludzkich zachowań. Bo przecież nawet pytanie o karygodną postawę Marka wobec swojej żony nie znajduje pro-

stego wytłumaczenia – on nie potrafi zachować się inaczej, przejął wzorce i model swoich rodziców, tak został wychowany, tak ukształtowało go najbliższe otoczenie. Przypomnijmy, że na podobny problem już na początku XX wieku zwracała uwagę Zofia Nałkowska w powieści psychologicznej *Granica*, w której główny bohater Zenon Ziembiewicz powiełał „boleborzański schemat”. Natomiast Marek wychowany według zasady: „żonę trzeba krótko trzymać” widzi w Magdzie tylko wzorową gospodynię domową, zawsze czekającą na niego, z ciepłym obiadem, wychowującą w przyszłości gromadkę dzieci, najlepiej synów, którzy są gwarancją ciągłości rodu. Nie rozumie, dlaczego Magda chce od czasu do czasu spotkać się z koleżankami, poczytać prasę czy podjąć dalszą naukę na studiach. Magda należy do niego a on ma własne życiowe priorytety. Dlatego Marek z tak wielkim zdziwieniem przygląda się twarzy Magdy – spuchniętej, posiniaczonej, niemalże fioletowej, ponieważ nie pamięta, by po razach, które wymierzał jego ojciec matce, pozostawały jakieś ślady. Bez względu na to, jak bardzo reguły te mogą wydawać się absurdalne w czasach współczesnych, w przypadku Magdy są jak najbardziej realne i co więcej, nienaruszalne.

Niewątpliwą zaletą literackiego talentu Aldony Likus-Cannon jest sposób, w jaki autorka wprowadza czytelnika w wewnętrzne rozterki głównej bohaterki, z niezwykłą starannością konstruując sugestywny obraz młodej kobiety zawierającej swej wrodzonej intuicji i wbrew całemu światu, lecz ostatecznie w zgodzie z własnym sumieniem, podejmuje decyzję o wyswobodzeniu się z narzuconej jej opresji.

Powie ktoś, być może wszystkich tych dramatycznych doświadczeń można by uniknąć, nie ryzykować niezrozumienia, odrzucenia i wyobcowania w relacji z drugim człowiekiem. Obraz takiego związku przedstawia Spike Jonze w filmie „Ona”. Nie chcąc narażać się na ból rozczarowań, Theodore zakochuje się w wykreowanej wirtualnie postaci odpowiadającej jego wyobrażeniom o związku doskonałym. Jednakże Aldona Likus-Cannon zdaje się odrzucać tę sugestię – świat wirtualny jest światem iluzji. Prawdziwe więzi i uczucia muszą być doświadczane tu i teraz, lecz jedynym kluczem do budowania trwałych relacji jest przekonanie o możliwości samostanowienia o sobie w zgodzie z własnym sumieniem, szczególnie w przypadku kobiet niejednokrotnie zniewolonych w świecie męskiej supremacji.

Recenzja książki *Zmorojewo*

Kacper Łukowicz

Jakub Żulczyk, który zadebiutował w 2006 roku powieścią drogi pt. „Zrób mi jakąś krzywdę”, znany jest głównie z bycia autorem książki, której serialowa adaptacja zaskarbiła sobie serca licznych polskich fanów oraz krytyków. Mowa oczywiście o „Ślepnąc od świateł” (2014). Brutalnej i bardzo obrazowej powieści opowiadającej o pogrążonej w zepsuciu i całkowitej degrengoladzie Warszawie. Na fali popularności serialu wyreżyserowanego przez Krzysztofa Skoniecznego, Żulczyk zdecydował się na reedycję swoich dwóch najmniej znanych książek – „Zmorojewo” i „Świątyni”, tworzących wspólnie dylogię. Szkoda jednak, że będące obiektem tej recenzji „Zmorojewo” (2011) okazuje się być gigantycznym krokiem wstecz w stosunku do tego, co Żulczyk prezentował nie tylko po pierwszej publikacji tej powieści, ale i przed nią.

Autor opisuje „Zmorojewo” hasłem: „Trochę straszna. Trochę śmieszna. Trochę romantyczna. Pełna dziwnych pomysłów książka dla każdego”. W sloganie tym nie ma jednak zbyt wiele prawdy. Jest co najwyżej lekko niepokojąco, a zabawnie jedynie dla młodszych czytelników. Wątek romantyczny, a zwłaszcza wyznania miłosne są do bólu sztampowe i momentami wręcz żenujące. Rzeczywiście, powieść pełna jest dziwnych pomysłów (o tym zaraz), ale na pewno nie jest dla każdego. Mogę się nawet pokusić o stwierdzenie, że jest dla nie wiadomo kogo.

„Zmorojewo” opisuje historię stereotypowego piętnastoletniego nerda Tytusa – niepokor-

nego fana horrorów, który przyjeżdża na wakacje do dziadków. Perspektywa najnudniejszych dwóch miesięcy w życiu obraca się jednak o sto osiemdziesiąt stopni, gdy poznaje swoją rówieśniczkę Anię, z którą stopniowo odkrywa tajemnice skrywane w wiosce, w której przyszło im mieszkać. Pojawiają się świetnie skonstruowane, związane z polską mitologią demony, a także motyw walki dobra ze złem o (a jakże inaczej!) trzy artefakty, które przez lata pozostawały ukryte w świecie ludzi. Z całą pewnością autor nie zaprezentował swoją fabułą niczego nowego, mimo tego, że osadził ją w naprawdę zjawiskowo wykreowanym świecie.

Jak wspominałem, wiele aspektów „Zmorojewo” to ogromne kroki wstecz wobec poprzednich powieści autora. Jednym z nich jest wspomniany miłosny, z którym tym razem Żulczyk niestety sobie nie poradził. Uczucie pojawia się znikąd i jest kompletnie niewiarygodne. A przecież już w swojej debiutanckiej powieści, autor dowiódł, że potrafi stworzyć pomiędzy bohaterami wiarygodną nić porozumienia. W „Zrób mi jakąś krzywdę” miłość przyrównać można było do kwitnącego stopniowo kwiatu, który rósł z każdym kolejnym rozdziałem. W „Zmorojewie” miłość jest petardą, która wybucha w kluczowym dla fabuły momencie bez żadnego uzasadnienia.

Kolejnym krokiem wstecz jest sposób przedstawienia nastoletnich bohaterów. Fakt, w książce pojawiają się również nakreślone wyjątkowo precyzyjnie i wiarygodnie postacie dorosłych. Prym wiodą jednak Tytus i Anka,

którzy są do bólu stereotypowi. Ona chodzi w moro, pali papierosy i nieustannie się buntuje. On gra w gry, żyje we własnym świecie i nie potrafi rozmawiać z dziewczynami. Taka płytkość nastoletnich bohaterów razi jeszcze bardziej, biorąc pod uwagę fakt, że w 2008 Żulczyk opublikował „Radio Armageddon” – powieść o licealistach, w której każda (nawet epizodyczna) postać była pełnoprawnym bohaterem z krwi i kości. Być może problem w kreacji bohaterów „Zmorojewa” wynika z wyraźnie widocznego (i o dziwo, wyjątkowo niekonsekwentnego) hamowania wulgarności i ostrego języka, spowodowanego skierowaniem książki do młodszego czytelnika. Jeżeli chodzi o element grozy – jest on centralną i nie do końca udaną częścią powieści. Pojawia się już na samym początku, w którym przyzwyczajani jesteśmy do fantastycznych opisów przeróżnych stworów i demonów, których czyny opisane są w wyjątkowo obrazowy i krwawy sposób. Niestety, mimo tego, że podziwiam fantazję autora, nie uważam tego za zaletę. Wspomniany środek artystyczny wypada blado, zwłaszcza w zestawieniu z „Instytutem” (2010) – powieścią, w której od pierwszych stron napięcie budowane było stopniowo. Mieszkający w tytułowym mieszkaniu bohaterowie byli nieustannie zagrożeni przez jakąś nieopisaną siłę, o której czytelnik nie miał najmniejszego pojęcia. Wszystko owiane było nutką tajemnicy, której w „Zmorojewie” zabrakło.

Konstrukcja fabuły jest niestety bardzo nierówna. Momentami Żulczyk bawi się przewidywaniami czytelnika, obracając gatunkowe klisze w zupełnie innym, niespodziewanym kierunku. Sam plan wydarzeń „Zmorojewa”, można jednak sprowadzić

do nieciekawego podążania z punktu A do punktu B, w którym nie ma miejsca na błędy bohaterów (jeśli takowe się pojawią – nowe, lepsze rozwiązanie, natychmiastowo pojawia się znikąd).

Wbrew pozorom, powieść Żulczyka nie jest aż tak nieudana, jak mogłoby się wydawać. Świat, który wykreował na potrzeby powieści zbudowany jest na filarach polskich legend i bajek. Pojawiają się w nim między innymi Szewczyk Dratewka i Baba Jaga. Sprawia on wrażenie konsekwentnego i przede wszystkim wiarygodnego. Warsztatowo również jest dobrze, lecz jak wcześniej wspomniałem, bardzo niekonsekwentnie. Powieść napisana jest w sposób przystępny dla młodszego (nastoletniego) czytelnika, a mimo to nie obywa się bez charakterystycznych dla autora wulgaryzmów, które wydają się być nie na miejscu, biorąc pod uwagę target oraz miejscową infantylną historię.

„Zmorojowo” jest więc powieścią bardzo nierówną. Być może to kwestia targetu, jaki tym razem obrał. Faktu, że Żulczyk bez językowych hamulców zjada na śniadanie swoją ugrzecznioną wersję. W „Zmorojewie” hamulce wciskane były aż do przesady, przez co otrzymaliśmy powieść nijaką, pozbawioną charakteru autora, a w zestawieniu z jego poprzednimi powieściami, co najwyżej średnią. Po kontynuację – wspomnianą na wstępie, poddaną reedycji „Świątynię” – raczej nie sięgnę. Mimo to „Zmorojowo” powinno być dla młodszego, niewymagającego i (przede wszystkim) niezaznajomionego z dorobkiem autora czytelnika pozycją idealną na wakacyjną nudę.

Martín Caparrós - *Głód*

Edyta Fragsztajn

*Jak, do diabła, możemy żyć, wiedząc, że dzieją się takie rzeczy?*¹

Głód. Słowo, które jednoczy mieszkańca Grenlandii z mieszkańcem Australii, zjawisko znane od pojawienia się pierwszego człowieka aż po współczesność. Każdy z nas doświadczył kiedyś tego nieprzyjemnego klucia w żołądku, które nieubłagane przypomina, że jesteśmy gatunkiem, jak każdy inny, zmuszonym zaspokajać podstawowe potrzeby. Ale prawdopodobnie nie zdajemy sobie sprawy, że dla wielu ludzi głód wciąż osadzony jest w kategoriach bytu lub niebytu. “Zjem, to przeżyję, nie zjem, to umrę” - to proces myślowy przebiegający w głowach ponad 800 milionów osób żyjących na Ziemi². Choć jest to myślenie towarzyszące człowiekowi od zarania dziejów, odziera współczesną ludzkość z człowieczeństwa, nie dając jej możliwości jakiegokolwiek rozwoju, skazując ją oraz jej potomstwo na egzystencję, która oparta jest jedynie na zaspokajaniu podstawowych potrzeb. Gdyby Mozart urodził się w takiej rodzinie, czy miałby szansę na odniesienie sukcesu? Jakie są przyczyny ciągłego głodu i jak można mu zaradzić? Jak w rzeczywistości działają organizacje międzynarodowe? Czy w krajach bogatych ludzie także go doświadczają? Powyższa książka odpowiada na te i wiele innych pytań, pozostawiając czytelnika skonsternowanym i trwającego w rozterce nad wieloma istotnymi zagadnieniami.

Jak, do diabła, możemy żyć, wiedząc, że dzieją się?

Tym, co zdecydowanie przemawia za lekturą tej książki, jest jej charakter. Bowiem autor nie skupia się jedynie na prezentacji i wyszczególnieniu danych statystycznych oraz ich analizie. Przewracając kolejne strony, zauważamy, że mówią przez nie postacie realne, bohaterowie nazwani i osadzeni w prawdziwej, brutalnej rzeczywistości. Przez słowa mężczyzn i kobiet, zamieszkałych w Nigrze, Indiach, Somalii, Bangladeszu, Argentynie i Stanach Zjednoczonych przemawia ich codzienność, co sprawia, że czytelnik głębiej utożsamia się z problemem przedstawionym w tym dziele. Skala cierpienia, z jakim muszą się oni mierzyć każdego dnia, prowadzi do niekontrolowanego poczucia empatii i współczucia wobec nich, co sprawia, że książka ta bynajmniej nie jest lekturą łatwą, szybką i przyjemną - ale na pewno jest warta przeczytania.

Jak, do diabła, możemy żyć, wiedząc?

Czym tak właściwie spowodowany jest głód? Czy wynika on z nieporadności ludzkiej, z warunków klimatycznych, klęsk żywiołowych? Czy to wynik niewystarczającej pomocy humanitarnej? Odpowiedź na to pytanie nie jest jednoznaczna, jednak z lektury wypływa wiele wniosków, które można podsumować jednym słowem: “nierówność”. Choć może się to wyda-

¹ Wielokrotnie powtarzane zdanie tej książki

² wyborcza.pl/7,75399,25013816,onz-na-swiecie-coraz-wiecej-glodu-i-otylosci.html

wać nieprawdopodobne, wciąż występują zależności, których początku upatruje się w czasach kolonialnych, gdzie ludzie z krajów bogatych żyją na koszt tych z krajów ubogich. "Pierwszy świat" nadal eksploatuje surowce i inne bogactwa naturalne, nie pozostawiając biedniejszym od siebie jakiegokolwiek zysku. Pola uprawne na całej ziemi zostały rozdysponowane przez międzynarodowe ogromne przedsiębiorstwa zbożowe, które odgórnie manipulują cenami żywności już przed jej produkcją (!), nie wiedząc, ile ton zostanie wyprodukowane i uzależniając lokalnych rolników od kupowania go po narzuconej cenie, często zbyt wysokiej. To czynnik sztucznie generujący głód, który można by wyeliminować, gdyby nie istniały standardy dzielące kraje na lepsze i gorsze. Z rolnictwem wiąże się również hodowla zwierząt, która paradoksalnie przyczynia się do zwiększenia głodu. Dlaczego? Otóż, zwierzęta żywią się płodami rolnymi, które w przeciwnym wypadku mogłyby być konsumowane przez ludzi. W Stanach Zjednoczonych 36% upraw zostaje wykorzystane na wykarmienie inwentarza żywego³. W krajach rozwijających się mięso wciąż utożsamiane jest z wyższym statusem społecznym, przez co rokrocznie wzrasta jego spożycie. Dzięki temu duża część plonów niezbędnych do wyżywienia głodujących zostaje w żołądkach krów i świń, które następnie konsumowane są przez bardziej uprzywilejowaną część świata. Kolejną nierównością, z którą coraz dotkliwiej mierzy się współczesny świat, jest niewspółmierna liczba osób bogatych w stosunku do biednych. Według danych książkowych 80 najbogatszych ludzi świata posiada majątek równy 3,5 mld ludzkości (według raportu Oxfam International z 2016

roku⁴ dysproporcje jeszcze bardziej się pogłębiły - 8 osób ma majątek równy 3,6 mld populacji). Jednocześnie 10% z 7,6 miliarda ludzi na świecie utrzymuje się przy życiu za mniej niż 2\$ dziennie. Bogacenie się najbogatszych kosztem najbiedniejszych - to kwestia dogłębnie ujęta w tej książce, będąca niemal jej esencją.

Jak, do diabła, możemy żyć?

Jakie wnioski mogą wypływać z tak wstrząsającej lektury? Czy po jej przeczytaniu należy popaść w ascezę, wyrzec się wszelkich dóbr tego świata i zamieszkać w dziczy zgodnie z naturą? Czy też wraz z odwróceniem ostatniej kartki zapomnieć o zmorzonych głodem twarzach i ze spokojnym sumieniem udać się na sowity obiad w drogiej restauracji? Obie skrajności nie wydają się być dobrym rozwiązaniem. Nasze wyrzeczenia nie doprowadzą do wykarmienia tych ludzi, jednak istnieje szereg drobnych nawyków, które praktykowane globalnie mogą zmienić oblicze świata. Należą do nich m.in.: wspieranie lokalnych sklepów i kupowanie produktów wytwarzanych blisko miejsca zamieszkania, zmniejszenie spożycia mięsa, ograniczenie do minimum marnowania żywności, a także apelowanie do rządu o objęcie restrykcjami ludzi najbogatszych. Wierzę głęboko w to, że dzięki nagłaśnianiu tego wstrząsającego problemu i wspólnie podejmowanym działaniom będziemy mogli w przyszłości żyć w świecie, gdzie nie będzie ludzi tak głodnych, że jedyną formą Boga, jaką są sobie w stanie wyobrazić, jest chleb⁵.

Jak?

³ onegreenplanet.org/environment/livestock-feed-and-habitat-destruction/

⁴ forbes.pl/wiadomosci/nierownosci-majatkowe-8-ludzi-ma-tylko-samo-majatku-co-polowa-swiata/zsb6hht

⁵ goodreads.com/quotes/40054-there-are-people-in-the-world-so-hungry-that-god

Lot nad kukułczym gniazdem

Olga Meyer

Jeśli temat zdrowia psychicznego można uczynić jeszcze bardziej skomplikowanym, to zdecydowanie dokonuje tego Ken Kessey w swojej powieści „Lot nad kukułczym gniazdem”. W tym klasyku literatury, na podstawie którego w roku 1975 nakręcono równie wybitny film, autor doskonale łączy wątki zarówno psychologiczne jak i społeczne oraz polityczne. Sprawia to, że lektura jest dosyć kontrowersyjna i nie należy do najłatwiejszych, ale satysfakcja po jej skończeniu pozostaje ogromna. O wydarzeniach opowiada jeden z pacjentów o nazwisku Bromden nazywany Wodzem. Wprowadza on czytelników w codzienne życie szpitala, rutynowe zajęcia i obowiązki. Studiując dokładne plany i rozkłady dnia, pozostaje jedynie zastanawiać się czy mowa o umysłowo chorych, czy może robotach.... Ale to nie wszystko. Już od pierwszych stron mężczyzna ukazuje nam prawdziwe oblicze placówki. Według Wodza psychiatryk to tak naprawdę rodzaj więzienia pod pieczę Kombinat, na którego czele stoi Wielka Oddziałowa. Ta z pozoru miła i potulna pielęgniarka to tak naprawdę okrutna sadystka, która wraz z resztą personelu znęca się nad chorymi. Życie szpitala ulega zmianie, gdy pojawia się tam McMurphy. Młody rudzielec jest tak naprawdę całkiem zdrowy, a pobyt w placówce traktuje jak dobrą zabawę. Drwi z pracowników, regulaminów i kuracji. Jednak jego nastawienie odrobinę się zmienia, gdy dowiaduje się, że to siostra Ratched wraz z doktorem Johnem Spiveyem decydują czy wyjdzie na wolność.

Nowy przybysz od pierwszej chwili wywraca szpitalne życie do góry nogami. Nastają czasy prawdziwego szaleństwa i zabawy: rozgrywek w pokera, śmiechu, alkoholu i wycieczek do normalnego świata. Zagłębiając się w lekturę, odnosimy wrażenie jakby ci dorośli ludzie po latach w odosobnieniu odkrywali świat na nowo. Uczą się uśmiechać, odczuwać emocje i radzić sobie samodzielnie w codziennym życiu.

Jednak czy niecodzienna terapia McMurphy'ego i jego wpływ na pacjentów spodoba się Kombinatowi? Cóż, każde działanie ma swoje konsekwencje...

„Lot nad kukułczym gniazdem” nie bez powodu uznany zostaje za pozycję obowiązkową na liście każdego mola książkowego. Mimo specyficznego sposobu napisania lektura porusza poważne problemy codziennego świata i jest ponadczasowa. Wpływ środowiska na człowieka, wyrzekanie się swoich wartości na rzecz akceptacji przez resztę społeczeństwa, mylne ocenianie, ocena publiczna... a przede wszystkim poczucie samotności w otoczeniu ludzi - to zaledwie niektóre z zagadnień poruszonych przez pisarza. Ta powieść to nie tylko plik zapisanych kartek, ale prawdziwa, chwytająca za serce historia. Na pewno każdy z Was znajdzie tam bohatera, z którym będzie mógł się utożsamić, cytat, który go zainspiruje lub sytuację, która doprowadzi do łez. Jeśli więc nie boicie się literackich wyzwania, ten tytuł zdecydowanie jest dla Was.

VARIA

Hiszpania po raz...

Martyna Zimek

Słowak powszechnie, choć nie wyłącznie, znany jest z podróży: tych dużych i małych, tych dalekich i bliskich, tych edukacyjnych i tych dla czystej satysfakcji. W niniejszym artykule chciałabym skupić się na jednym konkretnym wyjeździe, a mianowicie na Obozie Językowym w Hiszpanii i ciężko powiedzieć, do jakiej kategorii powinien być on zaliczony.

Takowych wyjazdów w historii szkoły było już dwadzieścia trzy, a wszystko rozpoczęła pani profesor Krystyna Grabowska. Dziś jej wychowanek, a nasz profesor Damian Straszak, kontynuuje tę dumną tradycję, zabierając nas do pięknego regionu Hiszpanii, jakim jest Katalonia.

Ten wyjazd pod wieloma względami wyróżnia się na tle innych. Przykładowo nie mamy „czasu wolnego” tylko „czas na realizację projektów” (choć moim zdaniem zwał jak zwał, praca musi zostać wykonana). Podczas



takowych wyjazdów niektórzy z nas po raz pierwszy mieli w ręku mapę, a co dopiero mówić o organizowaniu sobie jedzenia, transportu i ewentualnej rozrywki w wielkim, obcym dla nas mieście. Jak to ujęli absolwenci Gimnazjum Dwujęzycznego 2017 - „[gdyby nie ten wyjazd] wielu z nas (..) nie wiedziałyby, jak włączyć palnik albo jak skasować bilet do metra”. To pokazuje, że wyznawcy empiryzmu mieli rację, mówiąc o nauce przez doświadczenie, bo tyle, ile wynieśliśmy z tego wyjazdu, pozostanie nam na całe nasze życie.

Jak wspominałam wyżej, był to obóz językowy, a co za tym idzie, naszym głównym celem było szlifowanie języka hiszpańskiego. Najfajniejsze było to, że nie wzięliśmy w podróż książek czy zeszytów, ale uczyliśmy się przez doświadczenie i rozmowę z „lokalsami”. Tym, którym ta sztuka się udała, dostali kopa do dalszej nauki, bo zobaczyliśmy wymierne efekty swojej pracy. A ci, którym się nie udało, mogli wyciągnąć wnioski, że w przyszłym semestrze trzeba



będzie spać pośladki i wreszcie nauczyć się niezbędnych zwrotów koniecznych na przykład do zamówienia przystawki - „chłodnika pomidorowego w głębokim talerzu”, pierwszego dania - „duszonego morszczuka w sosie z frytkami” i do picia „una copita de negro seco”. Przy okazji wspominając kelnerowi, że przed hotelem wyrrywają kostkę brukową i przez to robią się straszne uliczne korki - if you know what I mean ;).

Oprócz tego powiem wam, że mamy w naszej szkole odważnych pedagogów, bo przecież nie jesteśmy „normalni”, a oni i tak mają do nas nieograniczone zaufanie. Mam nadzieję, że jeszcze się nie przeliczyli i dalej będą kontynuować taką bohaterką postawę, ponieważ właśnie wtedy czujemy się doroślejsi, odpowiedzialni za siebie i innych ludźmi.

Oczywiście - jak na nasz wiek przystało - czasem musimy zrobić coś głupiego i nie do końca przemyślanego, ale jak to się mówi, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Bez takich smaczków wycieczka byłaby jedną z wielu, a dzięki tym doświadczeniom płacemy ze śmiechu jeszcze miesiące i lata po ich zakończeniu. Poza tym Słowakowicze uczą się na błędach i tylko raz pewna grupa uczniów



musiała biegać za karę o 6:00 rano. Później już tego błędu nie popełniła. A ci, którzy nie mieli jak pobiec, jako zadośćuczynienie pozostali w pokojach, ale to już zupełnie inna historia... Chcemy w tym miejscu podziękować za częste przemykanie oka i parskanie śmiechem w odpowiedzi na nasze nie zawsze śmieszne żarty, których dla dobra osób czytających, lepiej tutaj nie przytaczać.

Do tego powinniśmy być wdzięczni za pomoc, jaką dostaliśmy od nauczycieli, bo nie każdy poświęciłby się, jadąc nocną taksówką do miejsca oddalonego o pół godziny drogi i nie każdy chciałby iść zgłosić kradzież na policję, a i nie każdy stanąłby autobusem pod Burgerking'iem, widząc, jak wszyscy umierają z głodu, gdy czas goni.

I ostatni, ale nie mniej ważny wątek - więzi międzyludzkie.

Posługując się słowami jednego z naszych szkolnych pedagogów: „ten wyjazd powinien być organizowany od razu po przyjściu do pierwszej klasy liceum, bo jeszcze nie przeżyłam takiej integracji klasowej w innym miejscu niż Hiszpania”.

Może ja i moi znajomi jesteśmy złym przykładem, bo znamy się już pięć lat, ale Rosyjs to bez dwóch zdań nasze szczęśliwe miejsce na ziemi. W kraju, w którym czas płynie wolno, wszystko staje się mniej skomplikowane i każde zgrzyty między nami idą w zapomnienie. Sama nie jestem w stanie opisać, jak to się dzieje, ale działa! Wiem to z doświadczenia, ponieważ większość z nas uczestniczyła w tym samym obozie dwa i pół roku wcześniej, chociaż czy można powiedzieć „tym samym”? Może i pojechaliśmy do tego samego miejsca, ale był to zupełnie inny wyjazd od poprzedniego...



Jestem i będę dożywotnie wdzięczna każdemu z osobna i całej grupie. Za co?

Za niepowtarzalną atmosferę, jaką wykreowaliśmy wspólnie podczas tej wycieczki, bo bez Was pozostałyby jedynie bezbarwne wspomnienie z podróży. A dzięki Wam będę miała co opowiadać dzieciom, czyli piękną historię z naszych beztroskich licealnych lat.

Dla uwydatnienia i przypomnienia - nie miejsca, jakie zobaczyliśmy, nie zdjęcia i filmiki, jakie zrobiliśmy będziemy pamiętać najbardziej, ale chwile, które przeżyliśmy w naszym swojskim - nie zawaham się tego powiedzieć - rodzinnym otoczeniu.



Szkolna wyprawa do Indii

Julianna Stachaczyk

Pierwszy oddech gęstym, indyjskim powietrzem, pierwszy przejazd pędzącą przed siebie taksówką i już wtedy przekonałam się, że Indie rządzą się swoimi prawami, a raczej ich brakiem... Jadąc z lotniska do hotelu drogą teoretycznie dwupasmową, z sygnalizacją świetlną i znakami drogowymi, naturalnie myślisz sobie: "jak w domu". Otóż NIE! Okazuje się, że kierowcy dosyć często tworzą zgrabnie kilka rzędów pojazdów, wymijając się na wszystkie możliwe sposoby i chyba nie muszą dodawać, że robią to ignorując poziome znaki drogowe. *Crème de la crème* każdej przejażdżki jest nieustanny dźwięk trąbienia, aż można by rzec, iż obyczaj używania klaksonu jest zawarty w drogowym *savoir-vivre* Indii.



Niewiele osób wie, że w czasach drugiej wojny światowej pierwszą osobą, która zaproponowała pomoc i przyjęcie do swego księstwa polskich uchodźców, był indyjski Maharadża Jam Saheb Digvijaysinhji. Podczas zwiedzania miast Kolhapur i Valivade, w których żyły nigdyś polskie dzieci, wyjątkowym momentem było ujrzenie obelisku w Mahavir Garden z orłem na szczycie postawionym na pamiątkę 50. rocznicy opuszczenia Valivade w 1948 roku przez ostatnią grupę Polaków. Obraz, który zapadł mi mocno w pamięć



i zachwyił od pierwszej chwili, to indyjska zieleń - roślinność na wyspie Elephanta i jej głęboka barwa były jak z bajki, tutejszy klimat sprzyja rozwojowi bujnych drzew i krzewów, ale sprawia niemało kłopotów mieszkańcom. Pierwszy opad monsunowy dopadł mnie na moście prowadzącym na Elephante, w pewnym momencie ujrzałam chmurę deszczu zmierzającą w stronę naszej grupy, schowałam się wraz z innymi za prowizorycznym parawanem, jednak to nie pomogło i w połowie byłam dosłownie przemoczona...

CDN.

